



**Praw-
dziwy
męż-
czyzna**

Albert Wojt

Albert Wojt

PRAWDZIWI MĘŻCZYŻNA

Kryminał z myszką – Tom 28

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-91-5

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Iskry, Warszawa 1984 (Klub Srebrnego Klucza)

Nakład pierwszego wydania: 99 700 + 300 egz.

I

Miarowo do tej pory turkoczące koła straciły nagle rytm, cienko zapiszczały hamulce i wrocławski pociąg zatrzymał się u kresu swojej trasy. Jerzy Sumiński machinalnie zerknął na zegarek. Jak na panujące na kolei zwyczaje opóźnienie było jeszcze w granicach przyzwoitości. Rozkład jazdy przewidywał przybycie pociągu na stację Warszawa Wschodnia niespełna pół godziny wcześniej.

Hałaśliwy tłum pasażerów wysypał się na peron i szybko zaczął znikać w wyjściach. Sumiński wysiadł jako jeden z ostatnich. Po prostu nie miał się dokąd śpieszyć. W rodzinnym Wrocławiu zostawił krewnych, przyjaciół, znajomych, a tutaj nie znał prawie nikogo. I pomyśleć, że jeszcze parę dni temu cieszył się z powrotu do swojego miasta. Co za lichy podkusiło go, żeby zaraz wyjeżdżać do Warszawy; zwłaszcza że miesiące spędzone niegdyś w stolicy zapisały się niezbyt przyjemnie w jego pamięci...

Minął pomieszczenia dworcowe i wolnym krokiem ruszył w kierunku przystanku tramwajowego. Na policzkach poczuł pierwsze krople deszczu, a jednocześnie ostry podmuch wiatru uprzytomnił mu, że wrześniowe wieczory bywają dość chłodne. Pomyślał z goryczą, że przyciasna, kupiona dobrych kilka lat temu marynareczka stanowi raczej kiepską ochronę jak na tę porę roku.

Zatrzymał się niezdecydowany, co robić dalej. Perspektywa wędrówki po mieście podczas deszczu nie była zbyt zachęcająca, ale moknąć na miejscu również nie miał ochoty. Szczęśliwym trafem w chwilę później na przystanku zatrzymał się jakiś tramwaj. Bez wahania Jerzy wskoczył do środka.

Przez kilka minut znudzonym wzrokiem przyglądał się mijanym ulicom. Nagle na jednym z domów zauważył niewielki neon, zapraszający do restauracji „Niedźwiadek”. Przypomniał sobie, że od paru godzin nie miał nic w ustach i wyskoczywszy z tramwaju na najbliższym przystanku biegiem ruszył z powrotem. Rozpadało się już na dobre, zanim więc dotarł na miejsce, zdążył przemoknąć do suchej nitki.

Wewnątrz panował typowy dla takich spelunek zaduch. Odór alkoholu mieszał się z zapachem ludzkiego potu i zawiewającą z kuchni spalenizną, a papierosowy dym kłębił się w każdym kącie ciasnej salki. Przeciskając się do upatrzonego stolika Sumiński poczuł na sobie badawcze i raczej niechętnie spojrzenia. Prawdę powiedziawszy specjalnie go to nawet nie zdziwiło. Zdawał sobie sprawę, że bywalcy tego „przybytku” w większości dobrze się znali, a on był tutaj po prostu obcy. Co gorsza – bardzo zwracał na siebie uwagę swoim wyglądem. Barczystych, mierzących z górą sto dziewięćdziesiąt centymetrów blondynów o podejrzenie krótko przyciętych czuprynach nie spotyka się w końcu co pięć minut.

Usiadł koło jakiegoś starszego, łysego jak kolano mężczyzny, który sądząc z wyglądu po wypiciu jeszcze jednego, a najwyżej dwóch kieliszków powinien wylądować pod stolikiem. Tamten obrzucił Jerzego nieufnym spojrzeniem, ale widząc przyjaźnie wyciągniętą paczkę sportów natychmiast się rozpozgodził.

– Ziutek jestem! – wybełkotał z wyraźnym trudem. – Przechylimy, koleś, po małym?

Sumiński bez ceregieli przystał na propozycję, zwłaszcza że świeżo poznany kompan zamówił na zakąskę po porcji kiełbasy na gorąco. Przy bardzo ograniczonych własnych funduszach grzechem byłoby przecież pogardzić zakrapianą kolacją na cudzy koszt.

Parę minut później na stoliku pojawiła się półlitrowka z zawartością o temperaturze żywo przypominającej zupę i dwa talerzyki z jakąś sałatką zamiast spodziewanej kiełbasy. Kelner nie raczył bąknąć nawet pół słowa wyjaśnienia, przezornie od razu zainkasował całą należność i ulotnił się gdzieś bez śladu.

Ziutek nie zdradzając większego zainteresowania dla zakąski niecierpliwie sięgnął po kieliszek. Bez zmruczenia oka przełknął wódkę i po chwili nabral zwykłej w takich wypadkach ochoty do zwierzeń.

– Zastrane życie! – zaczął płaczliwie. – Stara w domu dobrego słowa nie powie, ostatniego zaskórniaka z kieszeni wygrzebie, a jeszcze i dzieciaki napuszcza. Nawet tej ostatniej pociechy potrafi pożałować – szerokim gestem wskazał półlitrowkę. – Doczeka się kiedyś, rura, że wygrzmocę ją za wszystkie czasy! Do sądnego dnia popamięta, gangrena!

– Jak chłop baby nie bije, to w niej wątroba gnije! – przytaknął Jerzy bez specjalnego przekonania.

– A żebyś wiedział! – zapalił się tamten. – Z babami trzeba ostro, bo inaczej wlezie taka człowiekowi na głowę i...

– Nie martw się, bracie. Jeszcze utemperujesz swoją, starą!

– Pokażę jej, kurwie...

– No, to zdrówko!

Wypili i Ziutek znowu zaczął coś bełkotać pod nosem, ale Sumiński nie zwracał już na niego uwagi. Ze zdziwieniem spostrzegł, że przy sąsiednim stoliku usiadła całkiem przystojna i nie najgorzej ubrana brunetka. Miała koło trzydziestki i nie wyglądała raczej na prostytutkę; jej obecność w tej brudnej i dusznej salce mogła być dla każdego zaskoczeniem.

Kobiecie towarzyszyło dwóch mężczyzn. Jeden tęgi, czerwony na twarzy, z lekko siniejącym nosem nie różnił się niczym od innych bywalców „Niedźwiadka”. Drugi, znacznie starszy, o mocno posiwiałych skroniach siedział sztywno na krześle, krzywiąc się przez cały czas, jak gdyby pobyt tutaj sprawiał mu nieopisaną przykrość.

Jerzy przez dłuższą chwilę taksował całą trójkę bacznym spojrzeniem, ale kiedy na ich stoliku, tak jak i na większości innych, spostrzegł półlitrowkę, stracił swoje zainteresowanie dla sąsiadów. Odwrócił się do Ziutka i stwierdził ze szczerym współczuciem, że ostatni kieliszek najwyraźniej nie posłużył dopiero co poznanemu kompanowi, który nieoczekiwanie zmarkotniał i stracił ochotę do dalszej rozmowy. Ziutek przez dobrych kilka minut bez słowa wpatrywał się w sufit. Wreszcie podjął widać decyzję, że najwyższy czas wracać w domowe pielesze, bo zdecydowanym ruchem wstał i zataczając się ruszył do wyjścia.

Sumiński został sam. Na razie wolał nie myśleć, co będzie, kiedy „Niedźwiadek” zamknie swoje podwoje. Nalał sobie wódki i znudzonym wzrokiem zaczął wodzić po salce.

Jakiś pijak przewrócił się właśnie na samym środku, co wywołało powszechną wesołość. Ktoś z towarzystwa okupującego stół przy wejściu grzmotnął pięścią w blat, aż szkło posypało się na podłogę. Długowłose młody człowiek z uporem, ale bez przysłowiowego łutu szczęścia, usiłował napluć do ustawionej kilka kroków od niego szklanki.

– Ciekawe, ile razy w ciągu każdego wieczora zagląda tutaj milicja? – mruknął Jerzy do siebie. – Połowa towarzystwa już teraz kwalifikuje się do „żłobka”. Tylko patrzeć, jak zagrają temperamenty...

Tymczasem siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyźni pożegnali się z kobietą i ruszyli do wyjścia. O lepszej okazji trudno było nawet marzyć. Oczywiście Sumiński nie mógł mieć pewności, czy nieznajoma przyjmie jego towarzystwo z aplauzem, ale w przypadku uwieńczenia ewentualnej akcji powodzeniem automatycznie odpadłyby kłopoty z noclegiem, a może nawet i z zakwaterowaniem przez kilka najbliższych dni.

Po krótkim wahaniu postanowił spróbować szczęścia, w tej samej jednak chwili stwierdził ze złością, że ubiegł go jakiś niski, pryszczaty chłopak. Tamten bez ceregieli przysiadł się do kobiety i zaczął jej coś z ożywieniem opowiadać.

Podrywacz nie przypadł nieznajomej do gustu. Wzruszyła tylko ramionami i odwróciła się do niego tyłem, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że nie życzy sobie takiego towarzystwa. Każdy inny wróciłby jak niepyszny do swojego stolika, pryszczaty chłopak nie

myślał jednak rezygnować. Co gorsza, chwilę później przyszedli mu w sukurs dwaj niezbyt pewnie trzymający się na nogach kompani. Zniecierpliwiona kobieta rzuciła coś gniewnie natrętom, ale ci skwitowali to tylko hałaśliwym, pijackim śmiechem.

Nieznajoma znowu chciała coś powiedzieć, ale przyszczaty bezceremonialnie porwał ją z krzesła i posadził sobie na kolanach. Poczzerwieniała z gniewu i bez namysłu uderzyła go w twarz. Chłopak zmełł w ustach przekleństwo i gwałtownie odepchnął kobietę, tak że upadła na podłogę.

Sumiński nie zastanawiał się już ani sekundy. W dwóch susach dopadł przyszczatego i wymierzył mu potężny cios w szczękę. Tamten zdążył tylko jęknąć i razem z krzesłem poleciał na sąsiedni stolik. Musiał bardzo dotkliwie odczuć skutki uderzenia, bo w pierwszej chwili nawet nie próbował się podnieść.

Jerzy był święcie przekonany, że świadkowie zajścia nabrali do niego dostatecznego respektu i szarmancko wyciągnął rękę do nieznajomej, aby pomóc jej wstać, kiedy niespodziewanie opadli go koledzy powalonego rywala. Dosłownie w ostatnim momencie uchylił się przed potężnym kopniakiem z lewej strony, ale ciosu w okolicę prawego ucha nie był już w stanie uniknąć. Błyskawicznie zrobił półobrót i uderzył kantem dłoni jednego z napastników w kark. Tamten wrzasnął przeraźliwie z bólu, ale nauczony przykrym doświadczeniem Sumiński wolał nie ryzykować i profilaktycznie chwycił do ręki krzesło. Prawdę powiedziawszy uczynił to w samą porę, bo drugi kompan przyszczatego obtłukł właśnie dno butelki o kant stołu i tak uzbrojony szykował się do ataku.

Ruszyli na siebie prawie równocześnie, ale w tej samej chwili osadził ich na miejscu zachrypnięty głos:

– Chłopaki! Gliny!

Wkraczających do salki funkcjonariuszy powitało złowrogie milczenie. Dowodzący patrolem korpulentny sierżant wcale się tym nie stropił. Badawczym spojrzeniem zlustrował obecnych i bez namysłu ruszył w kierunku gramolącego się z ziemi przyszczatego chłopaka.

– Upadłeś, synku? – zagadnął z nie tajoną ironią. – A może ktoś ci pomógł?

– Tak jakoś... – wyjąkał tamten, patrząc ze strachem na milicjanta. – Wypiło się kapkę za dużo...

– I rączki poszły w ruch? – domyślnie zauważył sierżant.

– Ależ skąd, panie władzo! – żywo zaoponował chłopak. – Tutaj nie było żadnej draki.

– Wolisz, Skoczek, żebyśmy pogadali w komendzie? – wzruszył ramionami funkcjonariusz. – Ciekawe, czy znajdzie się cela, w której jeszcze nie siedziałeś...

– Jezus, Maria! Za co?!

Pryszczaty błagalnie złożył ręce, sierżant nie myślał jednak wdawać się z nim w dyskusję. Jego uwagę zwrócił już zresztą kto inny...

Sumiński dosłownie w ostatniej chwili zdążył wrócić do swojego stolika. Nalał sobie kieliszek wódki, wypił go jednym haustem i z pozorną obojętnością wlepił wzrok w przeciwległą ścianę. W rzeczywistości myślał z niepokojem, że każdy przechodzień mógł bez trudu zaobserwować przez szybę, co się działo w „Niedźwiadku”. Na wszelki wypadek wolał nie patrzeć ani na niedawnych przeciwników, ani w stronę milicjantów. Zwłaszcza kontakt z tymi ostatnimi mógł należeć do nie najprzyjemniejszych...

– A pan co ma do powiedzenia? – niespodziewanie zagrzemiał mu nad uchem stanowczy głos sierżanta. – To pan wpakował Skoczka pod stolik.

– Ja tu nikogo nie znam, panie władzo – zaprzeczył gwałtownie Jerzy. – Nie miałem powodu, żeby wdawać się z kimś w awantury...

– Fakt, że widzę tu pana po raz pierwszy – przyznał cierpko milicjant – ale krasnoludki powiedziały mi, że coś tu nie gra. Niech no pan pokaże swój dowód...

Sumiński niechętnie sięgnął po stary, wysłużony portfel. Otwierając go poczuł, że mimo woli czerwienieje na twarzy i nie może opanować drżenia rąk. W dowodzie osobistym tkwiła

złożona we czworo kartka. Było już, niestety, za późno, żeby ją wyrzucić czy choćby gdzieś schować...

– No, teraz jesteśmy w domu! – ucieszył się sierżant, starannie rozprostowując urzędowy druk. – Szanowny pan niedawno ukończył trzyletnie wczasy w Strzelcach Opolskich i zamiast wrócić grzecznie do Wrocławia, przyjechał do nas na gościnne występy. Początek rzeczywiście ze wszech miar udany! – dodał sarkastycznie, wskazując na poturbowanego Skoczka.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi! – odparł Jerzy ze złością. – Odsiedziałem swoje co do minuty i teraz jak każdy mogę robić, co mi się podoba. A to, że ktoś upadł na stolik i nabił sobie guza, wcale nie musi mnie interesować!

– Tak pan uważa? – milicjant ironicznie wyduł wargi.

– Nie można przecież przez całe życie gnębić człowieka tylko dlatego, że kiedyś podwinęła mu się noga.

– Święte słowa, tylko nie na temat...

– Pan chyba żartuje...

– Teraz będę poważny! – sierżant nagle zmarszczył brwi. – Nie znasz jeszcze naszego aresztu?...

– Pan chce mnie zamknąć? – Sumiński poczuł nieprzyjemny ucisk w gardle. – Za co?

– Za niewinność!

II

Porucznik Jan Stefański sennym wzrokiem wpatrywał się w okno. Na dworze lało, jak z cebra. Prawdę powiedziawszy zdążył się już przyzwyczaić do tego widoku. Dwutygodniowe wczasy w Jastarni zamiast na plaży spędził w świetlicy przed telewizorem albo po prostu w łóżku u siebie w pokoju, próżno oczekując, by deszcz chociaż na chwilę przestał padać.

Nie bez odrobiny satysfakcji pomyślał, że z dwojga złego lepiej już w taką pogodę mieć dyżur w komendzie niż marnować urlop. Tutaj istniała przynajmniej możliwość, że służba przebiegnie spokojnie i nie będzie trzeba nigdzie wyściubiać nosa. Tymczasem jeszcze trzy dni temu w Jastarni kłął na czym świat stoi i w bezsilnej złości wygrażał zachmurzonym niebiosom pięściami.

Nagle na biurku hałaśliwie rozdzwonił się telefon.

– Nie miała baba kłopotu! – westchnął smętnie Stefański.

Z ciężkim sercem wyciągnął rękę po słuchawkę. Zbliżała się północ, a o tej porze mógł dzwonić tylko oficer dyżurny albo któryś z szefów. Perspektywa wyprawy w zadeszczony „teren” stawała się niepokojąco bliska.

– Mówi Borkowski – zachrobotało niewyraźnie w słuchawce. – Czy zastałem majora Wojtysława?

– Kogo? – w pierwszym momencie porucznik nie bardzo mógł się połapać, o co chodzi.

– Naczelnika Wojtysława – uparcie powtórzył tamten. – Telefonowałem do domu, ale tam nikt nie podnosił słuchawki, więc pomyślałem, że jest może w komendzie...

– Panie kochany! – roześmiał się Stefański. – Major Wojtysław jest już chwałą Bogu od roku na emeryturze. Osobiście bardzo wątpię, żeby tęsknił za Pałacem Mostowskich...

– Na emeryturze? – w głosie Borkowskiego zadźwięczał wyraźny zawód. – No tak – dodał ponuro – lat nie ubywa...

– Sądząc z odrobinę spóźnionej pory – zażartował porucznik – ma pan jakąś pilną sprawę do kogoś z milicji. Zamieniam się w słuch i jeśli trzeba, służę swoją pomocą zaproponował.

– Obawiam się, że nie skorzystam! – odparł tamten niezbyt grzecznie. – Skoro Wojtysław już u was nie pracuje, to chyba będę musiał sam sobie poradzić.

– A może jednak? – nie ustępował Stefański. – W Pałacu Mostowskich jest wielu godnych następców pana majora...

– Niech się pan nie gniewa, ale kiedy jeszcze pracowałem w milicji, nigdy jakoś nie trafiały mi do przekonania te wasze współczesne metody śledcze – ostatnie słowa Borkowski wypowiedział z widocznym przekąsem. – Jeden Wojtysław nie oglądał się na kartoteki i ekspertów, a po prostu szedł często „za nosem”...

– Przyznaję, że intuicja też jest ważna w naszym fachu – zgodził się porucznik, ale raczej bez zbytniego entuzjazmu.

– To brzmi całkiem rozsądnie.

– Dziękuję za komplement, ale może wreszcie usłyszę, o co panu chodzi? Stefański pomału zaczynał tracić cierpliwość. Podczas swojej pracy w milicji zdążył się wprawdzie przyzwyczaić do dziwnych telefonów, ale w środku nocy nie miał nastroju do żartów czy abstrakcyjnych dyskusji. Prawdę mówiąc, gdyby Borkowski nie dopytywał się o emerytowanego naczelnika, wziąłby go pewno za zwykłego dowcipnisa i bez ceregieli odłożył słuchawkę.

– Właściwie to rozmowa nie na telefon – w głosie tamtego można było wyczuć wahanie. – Sprawa jest bardzo poważna, a ja nie mam jeszcze wystarczających dowodów...

– Za pozwoleniem – przerwał mu milicjant – ale skoro już zdecydował się pan zadzwonić...

– Najlepiej chyba będzie, jeśli osobiście wpadnę do komendy za kilka dni – uciął Borkowski. – Przez ten czas zdążę się dokładniej zorientować, w czym rzecz.

– Jak pan woli – ustąpił Stefański. – A skoro pracował pan w milicji, to nie muszę chyba uprzedzać, do czego może doprowadzić zabawa w Sherlocka Holmesa – na zakończenie nie umiał powstrzymać się od uszczypliwej uwagi.

– Nie ma obawy!

W słuchawce rozległ się odrobinę nerwowy śmiech i po chwili połączenie zostało przerwane.

– Mimo wszystko wariat! – mruknął do siebie porucznik. – Żeby tylko nie było z tego jakiejś biedy – westchnął przesądnie.

Nie spiesząc się podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Świeży powiew orzeźwił go trochę i poprawił mu humor. Przez kilkanaście sekund przyglądał się, jak krople deszczu zapamiętałe bębnią o parapet, aż wreszcie znudzony wyjrzał na ulicę. O tej porze nie było tam prawie nikogo i tylko z rzadka przejeżdżał koło komendy jakiś samochód, pryskając spod kół fontannami wody.

Z zadumy wyrwał Stefańskiego niecierpliwy brzęk telefonu. Tym razem dzwonił oficer dyżurny.

– Ty, Jasiu, zdaje się znasz niezłe angielski – zaczął bez żadnych wstępów. – Koło Dworca Centralnego obrobili jakiegoś Szweda, a chłopaki z dzielnicy za cholerę nie mogą się z nim dogadać. Cała nadzieja w tobie...

– Spróbuję jakoś to załatwić – rzucił porucznik, nie tając absolutnego braku zapału do powierzonej misji. – A swoją drogą, że też komuś chciało się kraść w taką parszywą pogodę – dodał ponuro.

III

Szary fiat 125p któryś raz z rzędu przemierzał wyludnione żoliborskie ulice. Na dworze powoli zaczynało świtać, a i deszcz prawie ustał.

Sierżant Snopek i kapral Jaworski nie mogli specjalnie narzekać na służbę. W radiowozie było przytulnie, a w ciągu nocy tylko dwa razy z niego wysiadali. Najpierw paru gościom restauracji „Kosmos” zbyt szybko zagrały rozgrzane alkoholem temperamy, tak że dopiero perspektywa pobytu w areszcie skłoniła ich do zaprzestania okładania się pięściami. Później trzeba jeszcze było wytłumaczyć „młodemu gniewnemu”, że nie wolno wyrzucać rodziny z mieszkania na ulicę i budzić sąsiadów potokami „mowy wiązanej”. Na szczęście po północy w całej dzielnicy zapanował spokój. Teraz funkcjonariusze raz po raz zerkali na zegarki, niecierpliwie licząc minuty dzielące ich od powrotu do domu.

Przejeżdżali właśnie koło Lasku Bielańskiego, kiedy nagle w świetle reflektorów zamajaczyła im czyjaś zgarbiona sylwetka. Spóźniony przechodzień najwyraźniej nie życzył sobie spotkania z milicją, bo na widok radiowozu gwałtownie zawrócił i bez namysłu pobiegł w kierunku pobliskich zarośli.

– Dałbym głowę, że to Zgódk! – głośno zdziwił się Snopek. – Co on, u diabła, robi tutaj po nocy?

– Przywidziało ci się, Mieciu – Jaworski z powątpiewaniem pokręcił głową. – W taką pogodę psa by z domu nie wypędził, a o ile wiem – Zgódk do rannych ptaszków ani miłośników deszczu nie należy.

– Kiedy ja jestem pewny, że to on! – powtórzył sierżant z uporem. – Cztery razy przymykałem nygusa za kradzieże, więc zdążyłem się już napatrzeć na jego gębę.

– Gadanie! – parsknął śmiechem Jaworski. – A zresztą, co za różnica, czy był to Zgódk, czy też ktoś inny? Czort z nim! – obojętnie wzruszył ramionami.

Przez chwilę jechali w milczeniu, ale poczynione spostrzeżenie nie dawało jakoś Snopkowi spokoju. Dobrą minutę zastanawiał się nad czymś intensywnie, aż wreszcie podjął decyzję.

– Stań!

– Co jest? – kapral niepewnie poruszył się na swoim siedzeniu.

– Wracamy, Zenek! – oświadczył sierżant stanowczo. – Wszystko jedno, kto to był, ale trzeba zobaczyć, czego szukał w lasku.

– Chyba zwariowałaś! Mieciu?! – zachnął się Jaworski. – Akurat rozpędziłem się łązić po błocie tylko z tego powodu, że jakiś wariat robił to parę minut wcześniej. Stara zmyłaby mi głowę za uświniony mundur!

– Nie będzie aż tak źle! – Snopek usiłował udobruchać kolegę z patrolu. – A sprawdzić trzeba – dodał twardo.

– Ciebie zawsze gdzieś nosi! – mruknął ze złością Jaworski. – Zobaczysz, że kiedyś przykro się to skończy...

Kapral pewno pomstowałby jeszcze znacznie dłużej, ale tymczasem zajechali na miejsce. Snopek nie czekając na kolegę chwycił latarkę i wyskoczył z radiowozu. Chcąc nie chcąc Jaworski wygramolił się również. Klnąc na czym świat stoi, miał właśnie zamiar zagłębić się w zarośla, kiedy sierżant chwycił go nagle za rękaw. Kilkanaście metrów dalej, na skraju lasku leżał jakiś ciemny kształt.

Bez namysłu podeszli bliżej.

– Pijany? – z nadzieją w głosie szepnął Jaworski. – Musiał zdrowo zatankować...

Snopek bez słowa skierował światło latarki na leżącego mężczyznę. Niewysoki, tęgi, o starannie wygolonych policzkach w niczym nie przypominał miejscowych pijaczków, którym wszystko jedno, co zjedzą i gdzie się prześpią, byle tylko dostać kieliszek wódki. Był porządnie ubrany, a więc do biednych chyba nie należał. Sądząc na oko mógł mieć około sześćdziesiątki. Zamknięte powieki wskazywały na to, że śpi, ale w pozycji, w której leżał, było coś nienaturalnego.

Sierżant przyklęknął obok i starał się namacać puls, ledwo jednak dotknął przegubu leżącego, po plecach przeszedł mu dreszcz.

– Trup! – rzucił nieswoim głosem. – Trzeba dać znać dyżurnemu!

Jaworski puścił się biegiem do radiowozu. Im szybciej zawiadomi o wszystkim oficera dyżurnego w komendzie dzielnicowej, tym większa będzie szansa powodzenia ewentualnej akcji pościgowej.

Tymczasem Snopek tłumiąc ogarniające go obrzydzenie zaczął metodycznie przeszukiwać ubranie mężczyzny. Podświadomie przeczuwał, że nie znajdzie przy nim pieniędzy ani dokumentów, specjalnie nie był więc zaskoczony brakiem portfela. W pewnym momencie poczuł pod palcami coś lepkiego. Odruchowo cofnął rękę i podniósł ją do światła. Nie omylił się – to była krew.

Nie minęły nawet dwie minuty, kiedy zaspany kapral był z powrotem.

– Już jadą – oświadczył z wyraźną ulgą. – Mieszkania Zgódki też zaraz ktoś przypilnuje... A co z nim? – zapytał, wskazując na leżącego.

– Chyba oberwał nożem – odparł sierżant, podnosząc się powoli z klęczek. – Specjaliści jeszcze dokładnie go sobie obejrzą, ale na mój gust facet został wyprawiony na tamten świat zupełnie niedawno.

– Widziałeś go kiedyś?

– Gdzie tam! – Snopek zdecydowanie potrząsnął głową. – Diabli wiedzą, co to za jeden – bezradnie rozłożył ręce. – Wyczyścili mu kieszenie, nawet jednego świstka nie znalazłem.

– Kiepska sprawa...

– Nie jest jeszcze tak źle – zaproponował sierżant. – Głowę daję, że to robota Zgódki! Jak dobrze pójdzie, za godzinę będziemy mieli nygusa...

– Oby! – Jaworski nie podzielał jakoś optymizmu kolegi.

W kilka minut później na pustej o tej porze Marymonckiej zaroilo się od mundurów. Błysnęły flesze, milicjanci zaczęli wprawnie przetrząsać okoliczne zarośla... Snopek i Jaworski nie zamierzali jednak czekać na wyniki oględzin. Za znacznie pilniejsze uznali sprawdzenie, czy to rzeczywiście Zgódka kręcił się niedawno w pobliżu.

Radiowóz zatrzymali przed samym wejściem do wysokiej odrapanej kamienicy przy ulicy Gdańskiej. W bramie czekał już na nich mocno zaspany dzielnicowy.

– Psa z kulawą nogą nie widziałem – ziewnął szeroko na widok kolegów. – Nie wiem nawet, czy Zgódka jest u siebie... Inna rzecz, że przyleciałem tutaj dopiero przed paroma minutami – dodał jak gdyby na swoje usprawiedliwienie.

– Szkoda czasu, idziemy! – zdecydował Snopek. – Zaraz wszystko będziemy wiedzieli.

Przeskakując po kilka stopni znaleźli się na trzecim piętrze. Sierżant dobrze zapamiętał numer mieszkania i nie oglądając się na dzielnicowego nacisnął dzwonek.

W środku przez dłuższą chwilę panowała kompletna cisza. Dopiero kiedy Jaworski zaczął energicznie walić pięściami, w przedpokoju zaszurały czyjeś kroki.

– Kto, do cholery?! – wychrypiął zapijaczony męski głos. – To ty, Stasiu?

– Milicja! – krzyknął Jaworski, zanim Snopek zdążył mu w tym przeszkodzić. – Otwierać!

Z mieszkania dobiegło funkcjonariuszy głośnie przekleństwo świadczące, że gospodarz ani myślał zastosować się do polecenia. Z okropnym rumorem zaczął on ściągać do przedpokoju jakieś sprzęty, chcąc najwyraźniej zabarykadować drzwi. Widać zamierzał zyskać trochę na czasie przed wędrownką po gzymsach i dachach.

Milicjanci nie wahali się. Trzy kroki rozbiegu, silne uderzenie ramieniem i wąż drzwi z przeraźliwym traskiem wyleciały z futryny. Zanim osłupiały gospodarz połapał się w czym rzecz, miał już kajdanki na rękach.

W mieszkaniu panował półmrok. Jaworski szybko odszukał kontakt. Okazało się jednak, że w przedpokoju żarówka jest przepalona. Dopiero kiedy weszli dalej, można było zapalić światło.

Wtedy z ust Snopka wyrwało się szpetne przekleństwo. Dopiero teraz spostrzegł, że zamiast poszukiwanego Zgódki zatrzymali jakiegoś zupełnie innego mężczyznę.

– Czego władza życzy względem uczciwego obywatela? – zapytał tamten zadziornie. – Dawno już nikt mnie nie odwiedzał z takim fasonem – spróbował zażartować.

Na moment w mieszkaniu zapanowało kłopotliwe milczenie. Sierżant popatrzył niepewnie na dzielnicowego, a później na kaprała. O dziwo ten ostatni wcale nie miał speszzonej miny.

– Dawno żeśmy się nie widzieli, pani Siparski – oświadczył z uśmiechem. – Słyszałem, że na jesieni wyszedł pan z pudła...?

– Niewinnie siedziałem! – na wszelki wypadek oświadczył zatrzymany. – Ktoś złośliwie podrzucił mi fanty...

– Teraz też ktoś zostawił twoje wizytówki u jubilera? – Jaworski wymownie wskazał na palce Siparskiego. – Znowu przyjdzie trochę posiedzieć – dodał z wyraźnym zadowoleniem.

– Czy to ten, za którym chłopaki z kryminalnego od tygodnia ganiają po Warszawie? – Snopkowi natychmiast poprawił się humor. – Kto by pomyślał, że nakryjemy nygusa na kwadracie Zgódki...

Twarz Siparskiego poszarzała. Zrozumiał, że jego najbliższa przyszłość maluje się w bardzo niewesołych barwach. Kolejny wyrok za włamanie mógł przybrać zgoła astronomiczne rozmiary.

– Panie władzo! To jakaś pomyłka. Ja wszystko wyjaśnię...

– Nie wątpię! – ironicznie zauważył Jaworski. – Tylko że najpierw trzeba będzie zamienić cywilne ciuchy na pasiaczek.

– Pan mi nie wierzy? – Siparski błagalnym gestem wyciągnął ręce do Snopka. – Niech mnie pan puści...

– Zamiast przelewać z pustego w próżne, może byśmy tak pogadali o Zgódce? – zaproponował niespodziewanie sierżant. – Tak się akurat złożyło, że mam do niego bardzo pilny interes.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI